

# Marek Sołtysik

---

## Siostra współczucia

---

Palestra 49/7-8(559-560), 168-173

---

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

## SIOSTRA WSPÓŁCZUCIA

„Doktorze, już nie zastrzykuj, bo odchodzę” – szepnął umierający Jacek Malczewski. Żeby Ją przyjąć, zrezygnował ze środka uśmierzającego ból.

Śmierć to piękna, mocna, młoda kobieta – tak ją przedstawiał na coraz piękniejszych obrazach z nieustającego cyklu *Thanatos*. Potem – w ostatnich latach życia – czekał na Nią, bo już bardzo źle widział; jakże był nieszczęśliwy, ponieważ z mgłą przed oczyma i z drętwiejącymi dłońmi już nie mógł dobrze malować. Nie mógł przekazać ludziom wizji, oddać Bogu maestrii. I co jeszcze – wyczerpała się jego miłość ziemską. Oczekiwał cierpliwie. Czy tylko dlatego, że wcześniej swoim malarstwem oswoił śmierć?

Kiedyś chłopi, żyjący mniej więcej zgodnie z rytmem przyrody, nie dawali się zwieść śmierci, („od nagłej, niespodziewanej śmierci, zachowaj nas, Panie”), wiedzieli pono, kiedy ma przyjść. Gospodarz uroczyście kładł się do łóżka, wokół się gromadziła rodzina. Dziś taka scena wydaje nam się kłiwym, stylizowanym obrazkiem. Dziś umieramy w biegu, nieraz dopiero sekcja wykazuje, że człowiek miał już kiedyś zawał, lecz go „przechodził”. Coraz mniej wiemy o własnym organizmie, nie mamy czasu go słuchać. Żeby już nie wspomnieć o wnętrzu.

Eutanazja? Widziałem u straszliwie cierpiącego, starego zwierzęcia.... Tak, spojrzenie wiernego psa najpierw gwałtowne, na rękę weterynarza wbijającego igłę w kark, następnie ostatnie spojrzenie na domowników...

Powoli w cywilizowanej Europie uprawomocnia się uproszczone likwidowanie tego cudnie skomplikowanego zjawiska, jakim jest indywidualne życie ludzkie: historii wzlotów, upadków, postanowień, emocji, uniesień, i to wcale niezamkniętej ramami przodków i następców! Wokół każdego życia powietrze aż drga od nagromadzonych energii. I to miałyby być unicestwione jednym ruchem innego człowieka?! W majestacie prawa?

Co pocnie lekarz, co pielęgniarz? Czy będzie się tłumaczył (przed samym sobą?, przed Stwórcą?), tak jak to usiłują robić niektórzy nieszczęśliwi do końca życia żołnierze wcieleni do armii i posłuszni totalitarnym potworom?

Plotkowano w okresie międzywojennym o romansie zwiewnej aktorki Stanisławy Umińskiej z atletycznym pisarzem Janem Żyznowskim. Atletycznym? Ależ w tej chwili mam przed sobą zdjęcie Jana Żyznowskiego na paryskim bruku z roku 1924 – roku jego śmierci. Trzydziestopięcioletni, z długim cieniem na trotuarze i, jak się zdaje, w przykrótkich spodniach, ani trochę nie wygląda na atletę. W kapeluszu.

No tak, pisarz, bywający malarzem, a przede wszystkim nadzwyczaj sensowny, dowcipny, błyskotliwy krytyk sztuki, jest na tym zdjęciu człowiekiem wychudłym, trawionym nieuleczalną chorobą. I na morfinie. Jak Edward Abramowski, filozof, który przerywał jakoś utykający wykład, wychodził na chwilę i wracał, napęczniony narkotykiem, zachwycając potocznością frazy, precyzją w wyrażaniu oryginalnej myśli.

Nazwisko jeszcze wierzącego w wyleczenie Jana Żyznowskiego figurowało w 1 Numerze „Wiadomości Literackich” z datą 6 stycznia 1924. Żyznowski – autor wydanych w 1916 „Zbioru nowel” i „Dla Polski pod Joffrem”, a w 1923 „Krwawego strzępu” oraz „Kamieni ugornych”, piszący właśnie powieść „Z podglebia” – jako jeden z trzydziestu dwu współpracowników! Znakomitych! Tuwim między nimi, Kaden Bandrowski, Witkacy, Karol Szymanowski, Horzyca, Słonimski, Stromenger, Iwaszkiewicz, Lechoń.

Żyznowski był dla „Wiadomości Literackich” cennym nabytkiem. Nie dość, że zajmująco pisał o sztuce, twórczość współczesnych polskich artystów traktując poważnie, bez taryfy ulgowej, to jeszcze własne obrazy wystawiał! Recenzował z werwą bieżące wernisaże, a jako dziennikarz znający się na rzeczy, rejestrował w prasie kulturalnej nowe porządki w Ministerstwie Sztuki i Kultury. Mieczysław Grydzewski ściągnął go do powstających „Wiadomości Literackich” z miesięcznika „Pani”, pisma wydawanego luksusowo nakładem Gustawa Żmigrydera, właściciela wielkiej firmy branży krawieckiej. Redaktorem bogato zdobionej, ilustrowanej „Pani” był właśnie Jan Żyznowski i on to wznosił ją na wysoki poziom artystyczny, którego ciągłość zapewniali chętnie współpracujący Kornel Makuszyński, Julian Tuwim, Cezary Jellenta, Herminia Naglerowa, Bruno Winawer. A więc z prawa i z lewa, a nawet z boku – byle pióro o najszlachetniejszym blasku!

Gdzie los zetknął Żyznowskiego z młodziutką i śliczną Stanisławą Umińską? W teatrze, a potem po premierze, pewnie na kolacji u Simona i Steckiego. Później na wernisażu, gdzie on chodził z pasji i z obowiązku, ona bo wypadało. Choć kto wie. O tym potem. Popularna, zaczynała znaczyć drogę ku sławie, zauważana przez najtęższych recenzentów, grała np. Arlekina w *Mandragorze op. 43* Karola Szymanowskiego, nazywanej przez twórcę „Arlekinadą”, pantomimie w trzech sprawach do scenariusza Ryszarda Bolesławskiego i Leona Schillera graną w III akcie komedii Moliera *Mieszczanin szlachcicem* (prawykonanie: Teatr Polski w Warszawie 15 kwietnia 1920 r). W *Uczcie Szyderców* Sema Benellego w reżyserii Ryszarda Ordęńskiego w Teatrze Polskim grała z Broniszówną dobre epizody. Premiera odbyła się 20 stycznia 1924 roku.

Irena Krzywicka, świetna pisarka, która była recenzentką teatralną m.in. „Robotnika”, po latach wspomni jej „parę ról – Puka w *Śnie nocy letniej*, Orcia w *Nie-Boskiej*, Isię w *Weselu* i coś tam jeszcze, zanim los jej nie skierował na inne tory”.

Czy mogła przypuszczać, że to w jej życiu aktorskim będzie ostatni sezon? Oto zabłysła w Teatrze Małym w Świerszcu za *kominem* Dickensa (rola niewidomej) w reżyserii Aleksandra Węgierki – o czym nazajutrz po przedstawieniu pisał Antoni Słonimski: „Na czoło wysunęła się p. Umińska. (...) W tej roli widziałem kiedyś p. Mysłakowską. Obie te świetne aktorki dały w swych kreacjach tragizm nie do pokonania; Dickens na pewno zmieniłby swoją sztukę, gdyby zobaczył smutną twarzyczkę p. Umińskiej”. – I to było 4 maja 1924.

Niebawem, z końcem sezonu, Umińska i Żyznowski wyjechali do Paryża.

Paryż. Jan Żyznowski od dawna był związany z Paryżem. Był członkiem powstałego w 1897 Towarzystwa Opieki nad Sztuką Polską w Paryżu z pierwszym prezesem Cyprianem Godebskim. Liczyło ono zawsze kilkadziesiąt osób, na czele z Olgą Boznańską – największą malarką w dziejach sztuki polskiej, którą odrzucił rodzinny Kraków i dopiero nad Sekwaną doceniono jej talent, a ona sama stała się opiekunką młodych utalentowanych; Bronisławą Ostrowską, poetką, postacią tragiczną, żoną Stanisława Ostrowskiego, późniejszego twórcy pomnika Jagiełły ustawionego w nowojorskim Central Parku, Stefanem Żeromskim, bezsprzecznie największym polskim powieściopisarzem, Władysławem Stanisławem Reymontem, znakomitym prozaikiem, nobilitowanym Noblem, Józefem Rufferem, poetą i tłumaczem Leopardiego oraz D’Annunzia, Eugeniuszem Zakiem, malarzem, którego arlekiны i tancerki niepowtarzalnie utrwalone na płótnie osiągają dziś na aukcjach nieprawdopodobne ceny, rozwój talentu przerwała nagła śmierć, wdowa po czterdziestoletnim artyście otworzyła galerię i zadbała nie tylko o pamięć męża, lecz i o sławę innych wartościowych artystów koloni polskiej École de Paris. Dalej, z Antonim Wiwulskim, którego z gruźliczej beznadziei wyciągnął wierzący w jego talent Ignacy Paderewski i zlecił mu zaprojektowanie Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie, odsłoniętego w pięćsetną rocznicę bitwy, wreszcie z Antonim Potockim.

Członkowie Towarzystwa Opieki nad Sztuką Polską w Paryżu w interesującym nas czasie to m.in. Jan Żyznowski właśnie; Tadeusz Makowski, malarski piewca świata dziecka; najlepszy portrecista epoki i twórca pysznych aktów kobiecych Roman Kramsztyk; Władysław Ślewiński, który światło dla swoich obrazów odkrył w Bretanii; rzeźbiarz Edward Wittig, twórca aktów w parku Trocadero w Paryżu; Elie Nadelman, twórca rzeźb ekspresyjnych, jeden z laureatów konkursu plastycznego pod hasłem „Chopin”, wreszcie Jerzy Zaruba, świetny rysownik, po wojnie czołowy satyryk, zawsze obecny w „Szpilkach” (jedna z redaktorek starego „Czytelnika” opowiadała mi o niezapomnianym dniu, w którym do siedziby wydawnictwa wkroczył Jerzy Zaruba taszcząc na plecach wyjęte z zawiasów drzwi, na których nocą w przypiływie natchnienia zdarzyło mu się namalować projekt zamówionej okładki książkowej). Ale to były zupełnie inne czasy, śmiem mniemać, inni ludzie.

Od wybuchu I wojny światowej Towarzystwo przestało istnieć, ale wielu przyjaciół i znajomych Żyznowskiego pozostało w Paryżu. I na ich pomoc liczył pisarz, który nagle – w tak dobrym dla siebie czasie, kiedy i sława rosła, i pieniądze nie brakowało, a przede wszystkim kwitł związek z ukochaną kobietą, podziwianą aktorką – poczuł się bardzo źle fizycznie. Choroba spadła na niego nagle. Towarzyszyły jej gwałtowne bóle. Rak. Cierpiał straszliwie. Najmocniejsze środki przeciwbólowe przestały działać. Halina Ostrowska-Grabska, tłumaczka, córka wspomnianych wyżej poetki i rzeźbiarza, pisze w swoich wspomnieniach („Bric à brac”, Warszawa 1978): „Pojechał ze Stasią, która rzuciła teatr, do Paryża, gdzie jeszcze z okresu wojny jako hallerczyk (podobnie jak jego przyjaciel, w 1922, w dwudziestym piątym roku życia zgasły na gruźlicę przyjaciel, pisarz i wyznawca mistycznej doktryny Heoene-Wrońskiego, Eugeniusz Małaczewski, od 1917 w formacjach wojskowych w Rosji, w 1919 przedostał się przez Archangielsk i Murmańsk do Francji, skąd z armią Józefa Hallera powrócił do kraju) miał liczne kontakty i nadzieję, że medycyna tamtejsza da mu większe szanse ratowania zdrowia. Choroba nowotworowa rozwijała się szybko. Cierpiał strasznie. Pielęgnowała go (...) biedna i kochająca (...) Wreszcie kiedyś sterroryzowana sytuacją, jego cierpieniem i zaklinaniem o skrócenie mu męki – uległa i zastrzeliła go z jego własnego oficerskiego jeszcze rewolweru”.

„...zabiła z miłości, bo męczył się straszliwie, pożerany przez raka” – napisała Irena Krzywicka w „Wyznaniach gorszycielki” (Warszawa 2002).



Paryż, w lutym 1925 roku – sensacja dnia: proces Umińskiej. Kobiety, która kilka miesięcy wcześniej zabiła chorego przyjaciela – na jego prośbę.

Według relacji nielicznych już dziś świadków sala paryskiego sądu podczas procesu była po brzegi wypełniona publicznością, żywo reagującą współczuciem i sympatią dla oskarżonej, że sąd był zmuszony ewakuować publiczność.

Stanisława Umińska została uniewinniona.

Dziwnym trafem nie mogłem uzyskać dokumentów z epoki, choćby prasowych ech tamtych zdarzeń, ponieważ materiały z tamtego czasu wyparowały ze zbiorów, z których zwykłem korzystać. Natrafiłem jednak na cenny materiał, wyjątkowo przydatny do naświetlenia charakteru związku Żyznowski–Umińska. Jest to unikatowa dziś, wydana w rok po śmierci pisarza, powieść Jana Żyznowskiego pt. „Z podglebia”, która ukazała się w Warszawie nakładem Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska”. Ta książka to zakamuflowana artystycznie kronika ostatnich lat, ostatnich miesięcy autora. Oto ostatnie jej akapity:

„Na tle opuszczonej nisko nad ziemią krwawej tarczy słonecznej wisi kaleka sylwetka Seweryna.

Przechylona na ramię głowa, przyczepiona na wąskim pasku żołnierskiego krawata do małej zasuwki okna – spogląda w ziemię matowo szklanymi źrenicami.

Coraz niżej, niżej opuszczająca się tarcza słoneczna.

Nieubłaganie zsząca się zewsząd gęsty mrok”.

Niżej *petitem* dopisek wydawcy: „Autor nie zdołał już napisać ostatnich zdań tej powieści. W porozumieniu z rodziną jego zużyliśmy jako zakończenie koniec noweli *Omyłka*, która była szkicem do niniejszej powieści”.

Powieści z kluczem, bez wątpienia.

Profetycznej, czy już pisanej w ostatnich miesiącach, w bólu i w cierpieniu? Szkoda się zastanawiać. Z każdej stronicy druku bije cierpienie i lęk przed odejściem na zawsze. To nie jest to, co w przypadku starego, steranego życiem, spełnionego artysty, Jacka Malczewskiego. To jest rozpacz mężczyzny w sile wieku, który nagle wpadł w paści, potwornie cierpi, wie, że się nie wydobędzie, że już zapadło. Ślad nadziei w braku autorskiego zakończenia powieści? Chyba raczej lęk przed napisaniem ostatnich słów. Ostatnie słowa trochę inaczej zapisało życie. Żywnowski to powieściowy Seweryn Witan, którym rannym (z amputowaną ręką i nogą) opiekuje się w Biarritz, w szpitalu Legii Cudzoziemskiej, przybyła z kraju jego wielka miłość, powieściowa Helena Kosińska (Stanisława Umińska), będąca również przedmiotem fascynacji zamożnego gruźlika, Klemensa Grudowskiego (Eugeniusza Małaszewicza), który umożliwia jej przyjazd do rannego, sam zajmując pokój za ścianą. Dramat cierpienia, skrywanych namiętności, wzajemnej zazdrości i bezgłośnych oskarżeń.

Kompan Seweryna, niezły bandzior, „wyjeżdżając do Rosji, zostawił Helenie mały belgijski browning. (...) Nieraz podczas dnia lub nocy wyjmowała spod poduszki tę dopasowaną do każdej ręki, jak ja nazywała – maszynkę i powtarzała z tajemniczą lubością lekcję obchodzenia się z nią (słowa bandziora, na pamięć): *Ten migdałek, jak się go pchnie do góry, sztajerem ma gębę zamkniętą, jak się cofnie w dół – gęba otwarta*”.

Oczywiście i w Biarritz miała ten pistolet. Zastanowiło go nagłe pytanie Seweryna, któremu „gorycz wyżarła się z mózgu i spłynęła na usta jak zatruta, zjadliwa plwocina.

– Zabiłabyś się dla mnie?

– Zabić? Dla ciebie? – nie zrozumiała od razu pytania kochanka (...). Umrzeć? Nie być? Nie być dla cierpienia, nie być dla niego? Dlaczego?”.

Głęboki sens tego fragmentu prozy. Zważmy, że bohaterka na pytanie nie odpowiada pytaniem „Zabić się?”, lecz „Zabić?”. Ona jest przy ukochanym przecież nie tylko po to, żeby się opiekować jego okaleczonym na zawsze ciałem, lecz żeby nie odbierać mu nadziei, że jeszcze kiedyś zazna radości życia. Miast tego musi się miotać między bliskiemu szaleństwu cierpieniem ukochanego, coraz bardziej obcego człowieka, a adoracją zakochanego w niej przyjaciela, który między jednym a drugim krwotokiem w wyobraźni widzi siebie jako kochanka samarytanki. Przychodzi wreszcie ten moment, kiedy po ataku beznadziejności Seweryna, który uzmysłowił sobie, że obstalowane w Paryżu protezy, które wczoraj dopasowywała mu Helena, są niczym więcej jak podkreśleniem imitacji pełni życia, po ataku jego szorstkiej agresji, Helena odwiedza Klemensa i mu się oddaje. Czyn, o którym nie

mógł wiedzieć, ale który musiał odczuć przewrażliwiony Seweryn, pchnął go do samobójstwa. Helena, zabijając swoją miłość, zabiła siebie. „Rozpustna, jawna prostytucja, miłość do zbrodni – wszystko to ją wywlokło w chorobę świętości”.

Powiedzmy sobie: imiona i nazwiska osób zostały zmienione, ale dogorywający Jan Żyznowski napisał scenariusz przeznaczony nie na scenę, lecz na dalsze życie Stanisławy Umińskiej. Ten piekielnie inteligentny, przewrotny, utalentowany artysta, nie mógł sobie pozwolić na umieranie w nędzy duchowej. Miał rewolwer pod ręką. Mógł sam skrócić swą mękę. Bał się nacisnąć na spust? To także możliwe. Ale bardziej możliwe, że skłaniając bliską mu, młodą aktorkę, do strasznego, nieodwołalnego czynu, wzmocnił ją jako człowieka, utrwalił jej kościec moralny, ustawił ją mocno – tak jak rzeźbiarz ustawia rzeźbę na bardzo mocnym rusztowaniu, sporządzonych z powiązanych grubym drutem kawałów twardego drewna.



Stanisława Umińska wkrótce po procesie wróciła do Polski. Los chciał, że teatr upomniał się o nią. Wielki reżyser Leon Schiller, po tragedii z udziałem Umińskiej i Żyznowskiego, ani przez chwilę nie zapomniał o wykonawczyni głównej roli. Utrzymywał z nią kontakt także i po tym, jak wstąpiła ona do klasztoru Samarytanek, przybrała imię zakonne Benigna i niebawem została prowadzącą zakład opiekuńczy w Henrykowie. Schiller, wybitny artysta, ale nieraz nazywany „człowiekiem o dwóch twarzach”, choć socjalizujący, choć czerpiący z życia pełnymi garściami, już przed wojną począł przejawiać momenty religijnych uniesień. Jeszcze zanim niemal przeżył własną śmierć. W wyniku hitlerowskich represji po zamachu Podziemia na kolaboranta, aktora Igo Szyma, 15 marca 1941 roku Schiller, aresztowany w swoim warszawskim mieszkaniu w gmachu Prudentialu przy Świętokrzyskiej 25 i po represjach w więzieniu na Pawiaku, wywieziony do obozu w Oświęcimiu (wytatuowano mu już numer obozowy), ale jako poważnie chory został dzięki staraniom rodziny uwolniony, powrócił do Warszawy 27 maja 1941 roku i wtedy przeżył przełom religijny. Sam nazwał go konwersją. Kontakty z duchownymi, między innymi z księdzem Janem Zieją i właśnie z siostrą Benigną, pogłębiły nastroje religijne Leona Schillera. W prowadzonym przez siostrę Benignę zakładzie S. S. Samarytanek w Henrykowie, ona sama (dawna Stanisława Umińska) okazała się znakomitą asystentką Schillera podczas reżyserowania wystawianych tam z udziałem wychowanków w latach 1942–1944, a więc w czasach okupacyjnej nocy, „Pastorałki” oraz fragmentów „Wielkanocy” i „Godów weselnych”.

Leon Schiller (de Schildenfeld) w czerwcu 1944 został oblatem benedyktyńskim i przybrał imię zakonne Ardalion, a przecież po 1945 znowu działał i na scenie i w życiu społecznym, artystycznym, bywał na salonach – ale to już inna historia. Nie nam sądzić. Powiedziane przecież: nie zakopywać talentów. Istotne, że przed laty pisarz Żyznowski spotkał aktorkę Umińską nie o tak sobie. Ta niezwykła kobieta została mu wskazana tym samym palcem, który wskazał ją Schillerowi.